

Dla dobra nauki i nauczania

Co zrobić, aby lekarze — absolwenci Akademii Medycznej byli lepiej przygotowani do wykonywania swych trudnych obowiązków? Co zrobić, aby badania naukowe na Akademii były bardziej efektywne, by przebiegały szybciej i z lepszym skutkiem?

Takie pytania stawia sobie niemal każda uczelnia w świecie. Albowiem nie jest to problem tylko polski. Większa sprawność wyższej uczelni wyrażająca się polepszeniem procesów dydaktyczno-wychowawczych oraz badań naukowych jest przedmiotem troski uczonych, a nawet rządów w wielu krajach. Sporo się też w tej dziedzinie robi. U nas także. Przykładem jest właśnie poznańska Akademia Medyczna, której inicjatywy i konkretne czyny zamierza my przedstawić.

Dezintegracja nauk czyli ich rozproszenie na wąskie specjalizacje jest problemem ogólnym, dotyczącym całego świata nauki. Medycy twierdzą jednak, że w ich światku proces ten rozwijał się szczególnie. Kiedyś były tylko dwie dyscypliny: chirurgia i interna (zwana medycyną).

Dzisiaj mamy dziesiątki dyscyplin medycznych. Uzasadniano to tym, że trudno objąć ogrom wiedzy, trzeba się więc specjalizować w jakimś ułamku. To było dobre do czasu. Jednak rozwój przebiegał w ten sposób, że owoemu specjalistce na uczelni tworzone zakłady naukowe czy kliniki albo katedry. Kierownicy tych placówek bywali z reguły dożywotni. Zakłady czy katedry obrastały we własne biblioteki, laboratoria, pracownie. Dynamiczni kierownicy zapewniali swoim zakładom znakomite wyposażenie ze szkoda dla innych. Tworzyły się państwa w państwie. Albowiem autonomiczność takich np. katedr w strukturze Akademii jest tak duża, że praktycznie nikt nie może kwestionować tego, co w katedrze się dzieje.

Specjalizacja powodowała powstawanie szeregu jednostek jednoimennych. A więc kilka katedr chirurgii czy też kilka katedr pediatrii. Każda z własnym zapleczem laboratoryjnym, technicznym, oczywiście niedostępnym innym jednostkom. W tych katedrach prowadzono wąskie badania, ustalano określony punkt widzenia na pewne schorzenia, który z kolei zaszczepiano studentom. Ci zaś, przechodząc po kolei przez kilka takich jednoimennych katedr, poznawali różne punkty widzenia na te same schorzenia i opuszczali uczelnię nie wiedząc, który punkt jest słuszny. Badania naukowe niejednokrotnie dotyczyły tych samych tematów i do prowadzących do identycznych wniosków. Dowiadywano się o tym czasami przypadkowo.

Nie potrzeba wyjaśniać, jakie to marnotrawstwo umysłów uczonych, energii ludzkiej, aparatury naukowej itp. Było więc dość powodów aby zabrać się do reformy.

Instytuty zamiast katedr

Reforma idzie w następujących kierunkach. Dąży się do tworzenia wielkich zintegrowanych jednostek organizacyjnych, w których znajdują się jednoimienne kliniki, zakłady i katedry. W takim wielkim zespole będzie się oczywiście prowadzić specjalistyczne badania, także bardzo wąskie bo taki już jest rozwój nauki. Jednakże cały aparat pomocniczy będzie wspólny dla instytutu (te wielkie jednostki mają zwać się instytutami). W instytucie łatwo będzie tworzyć naukowe zespoły problemowe złożone z różnych specjalistów dla rozwiązania konkretnego zagadnienia naukowego, co dotąd było prawie niemożliwe. Takim zespołom łatwiej będzie przydzielać odpowiednie środki, ludzi, aparaty. Po rozwiązaniu zagadnienia, zespół się rozwiąże.

W instytucie inaczej będzie funkcjonować dydaktyka i wychowanie studenta. Dydaktyka będzie musiała być jednoznaczna, student musi mieć jeden pogląd (w danym momencie) na dany przedmiot (przejęty przez naukę) na dany przykład choroby, a dopiero po studiach, w ramach specjalizacji można w nim budzić wątpliwości co do istniejących rozwiązań, można zachęcać do szukania własnych dróg. O ile dotychczas Akademia kultury wała prymat nauki przed nauczaniem — teraz, o tyle, obie te sprawy będą traktowane równorzędnie. Wracając się więc do tego, że zadaniem podstawowym AM jest wychowanie le-

karza. Wychowanie to musi być jednolite, bez zachwian i wątpliwości. I oczywiście oparte na dorobku naukowym uczelni.

Zmiana struktury organizacyjnej ma przynieść jeszcze jeden ważny rezultat: przyspieszenie rozwoju młodych kadr naukowych i stworzenie bodźców do rozwoju nauki w ogóle.

Dotychczas, gdy ktoś został kierownikiem katedry, mógł właściwie spocząć na laurach i niczego więcej dla nauki nie zrobić. Kierownikiem katedry był aż do osiągnięcia wieku emerytalnego. Nie znaczy to, że wielu kierowników tak właśnie postępowało. Ale groźne było to, że najzdolniejszy nawet naukowiec nie miał szans na to, by kierować ludźmi, by swoje doświadczenia szeroko przekazywać póki jego szef nie odszedł na emeryturę.

Obecnie stopniowo wszystkie kierownicze stanowiska na AM otrzymują 5-letnią kadencję. Kierownicy instytutów, katedr, zakładów angażowani są na ten okres. Oczywiście, że ludzie, którzy sprawdzą się w tym czasie — na tych stanowiskach dalej pozostaną. Jednakże wiele jednostek zapewne zmieni swoich szefów na tych, którzy w 5-letnim okresie najbardziej wyrosną, udowodnią swoje zdolności naukowe i organizacyjne. Powstaje kapitalny bodziec dla ludzi młodych, powstaje także bodziec dla starszej kadry, która będzie musiała stale udowadniać swoją sprawność, zdolności i pracowitość.

Dla po'niesienia poziomu lekarzy

Reforma dotyczy więc nauczania, dotyczy nauki i wzrostu młodych kadr. Myśli się już jednak także o sprawach wychodzących poza Akademię. Przecież lekarz, który dziś — przy tak szybkim rozwoju wiedzy — odrywa się od uczelni, po paru latach staje się lekarzem zafocanym. Powstaje więc instytucja docentów oddelegowanych do szpitali miejskich. Pozostając na etacie AM, zapewnią oni inny poziom oddziaływania szpitalnemu, podnieśliby kwalifikacje tamtejszych lekarzy, stworzyliby warunki, w których studenci medycyny praktykujący w tych szpitalach oraz lekarze przechodzący do szkolenia mieliby zapewniony właściwy poziom wiedzy medycznej. Na tych stanowiskach docentów oddelegowanych należałoby oczywiście prowadzić rotację kadr. Takie stanowiska poznańska AM już powołała, należy teraz tę instytucję rozszerzać.

Reforma struktury AM jest już w pełnym toku. Ma ona taki zasięg i spodziewane skutki, że mówi się częściej o przewrocie lub rewolucji niż o reformie. Oto już powołano dwa instytuty: pediatrii oraz ortopedii i rehabilitacji narządów ruchu. Istnieją już opracowane regulaminy kolejnych instytutów: Instytutu Interny (połączy 3 katedry wewnętrzne, katedrę fizjologii oraz kliniki parazytologiczną), Instytutu Chirurgii (połączy 3 katedry chirurgii oraz kliniki urologiczną), Instytutu Ginekologii i Położnictwa, Instytutu Stomatologii, Instytutu Leku Naturalnego. Przygotowuje się też regulamin Instytutu Leku Syntetycznego.

Powstają także zintegrowane zakłady — wspólne dla całej AM. Powołano już np. Zakład Anestezjologii i Reanimacji. Podobnie trzeba będzie zrobić z radiologią, rozsianą po klinikach (tylko w szpitalu przy ul. Przybyszewskiego jest 5 pracowni radiologicznych osobno pracujących, podobnie w innych klinikach). Scałona będzie służba biblioteczno-dokumentacyjna. Wszystkie laboratoria otrzymają wspólne kierownictwo i będą tworzyły jeden organizm.

Zmienić sposób myślenia

Jest jeszcze niemało do zrobienia. Lecz są ludzie, którzy chcą konsekwentnie sprawę doprowadzić do końca. Zespolenie wysiłków władz partyjnych z władzami uczelni pozwoliło wprowadzić koncepcję na drogę szybkiej realizacji. Dziś nie można już niczego cofnąć. Zresztą liczba zwolenników nowej struktury szybko się zwiększa.

Sprawa wymaga oczywiście zmiany sposobu myślenia, wymaga wyobraźni. Za kilka lat prawdopodobnie ludzie nie będą mogli uwierzyć, jak mogli jeszcze niedawno pracować w tak anachronicznym systemie. Warto już dziś spojrzeć na reformę z tej perspektywy. I włączyć się do realizacji. Dla dobra własnego naukowców, dla dobra nauki, studentów i dobra chorego.



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 400 29 VI 1969 Rok IX

Stulecie w ćwierćwiecze

Prof. dr Ryszard Manteufel, wybitny uczony z zakresu ekonomiki rolnictwa i wykładowca w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w wywiadzie bynajmniej nie okolicznościowym dla „Życia Warszawy”, poddając się wrażeniom zmian na wsi, powiada tak: „Zmiany na naszej wsi widać tym wyraźniej, im dalej od Warszawy. Taka, powiedzmy południowa lubelszczyzna, kresy Podlasia albo zachodnia Rzeszowszczyzna — toż tam w tym ćwierćwieczu minęło stulecie”.

Nie będziemy rozważać, czy więcej w tym sformułowaniu zachwytu dla urody rewolucji socjalistycznej na wsi, czy też może więcej zapobiegliwości o zdobycie wyobraźni czytelnika? Ale w tym jest to „coś” w tym „coś” po prostu jest prawda. Można bowiem powiedzieć, co zauważył zresztą bardzo trafnie profesor, że symbolem rewolucji stała się zarówno podkrakowska wieś Mogiła, która użyczyła swych pól gigantowi przemysłowemu Nowej Huty, ale też nie wolno zaprzeczyć, że w równym stopniu do tego samego szeregu symboli dołączyła elektryczna żarówka, a w ślad radio, motocykl, pralka, telewizor. Nie można też nie zauważyć, że w mieszkaniach wiejskich pojawił się fotel oraz tapczan w miejsce stołka i przysłowiowego wyrka z siennikiem.

Symbole przemian

Są to te małe i skromne symbole przemian, które nie tylko stopniowo i z takim uporem skracają odległość między miastem a wsią, ale te właśnie symbole bardziej ucłowieczyły życie na wsi, chociaż częściej zwykło się mówić, że w tym wyraża się pochod cywilizacji. Dołączmy do tego szeregu i maszyny, nawet w niedostatecznych wciąż ilościach traktory. Gdy do maszyn i traktorów dodamy książkę fachową, prasę, literaturę piękną, klubokawiarnię, a w tych klubokawiarniach modniejsze dziewczęta i coraz bardziej „miejskich” chłopców — wówczas zbliżymy się do treści stulecia spełnionych za czasów jednego pokolenia.

Oczami pamiętnikarzy

Zmiany na wsi — czym się wyrażają najpełniej i bez symboliki.

Olgiard Błazewicz

Możliwości środowiska

Koncepcja tej wystawy rodziła się długo, poprzedziły ją zasadnicze spory i dyskusje. Pierwotnie na 25-lecie Polski Ludowej miał powstać cykl wystaw monograficznych czołowych przedstawicieli poznańskiej plastyki, potem organizatorzy — Muzeum Narodowe, Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne, redakcja miesięcznika „Nurt” i Związek Polskich Artystów Plastyków — zdecydowali się na formę mniej może oryginalną, spowszedniałą: jednej wielkiej ekspozycji retrospektywnej, poświęconej dorobkowi poznańskiej plastyki w 25-lecie PRL. I to założenie w praktyce nie było jednak w pełni osiągalne. Okazało się bowiem, że nie sposób pokazać całokształtu rozwoju środowiska w oparciu o prace przedstawione przez autorów, ci bowiem mając możliwość wyboru pragnęli jedynie, co jest całkowicie zrozumiałe, pokazać prace najnowsze, z bieżącego okresu swej twórczości.

Nie jest więc ta wystawa przeglądem dorobku całego minionego 25-lecia poznańskiej plastyki. Mimo to, dzięki włączeniu do ekspozycji części retrospektywnej, poświęconej największym indywidualnościom przeszłości, daje nam jednak pogląd na to, co dokonało się w sztuce w Poznaniu w tym okresie. I jest

PROGNOZY POLSKIE

Na przykład rolnik — robotnik, gospodarstwo 3 ha, urodzony 1935 w Milanowie pow. Płońsk, w pamiętniku oznaczonym nr 20 nadesłanym na konkurs PAN z regionu plockiego pisze, że „niejednemu mojemu kolegom musiał paść bydło i nie wolno mu było słowa powiedzieć. Teraz powiedziałem dziecku, aby pasło bydło, to wcale nie chce słuchać, a zresztą nawet sąsiad by sąsiada

go, którego bezpośrednim sprawcą został zakład przemysłowy, ściślejszy kombinat, który w ramach programu likwidacji krzywdy społecznej zamiast w mieście zajął się niespodziewanie na polu. W tym otoczeniu powstają nowe wartości, nowe ambicje, aspiracje, wzory, przez co wiek XX w swej codzienności nie jest już przywilejem miast.

wytykał palcami, że robi niewolę w XX wieku. Dziecko ma radio, telewizor, dba się o to, aby mogło się uczyć w wygodnych warunkach aby nie było przemęczone”.

Tak widzi zmiany sama wieś — jej przedstawiciel. Socjolog doc. dr Dyzma Gałaj świadomy przeciw zmian na wsi — stwierdza: „...Dynamika tych przeobrażeń bynajmniej nie maleje, co jest wyrazem spłacania — może najbardziej popieszczonego w świecie — długów wobec historycznych zaniedbań wsi. Już dziś rachunek ten jest w znacznym stopniu wyrównany: 3 mil. ludzi ze wsi uzyskało pracę poza rolnictwem, na studiach uścisł tego typu wyższych uczelni prawie 20 proc. to młodzież chłopska, a wzrost produkcji rolniczej liczonej na głowę zatrudnionych w rolnictwie ze 100 w latach 1934—38 do 142,2 w roku 1960”. Jak oblicza prof. M. Falski obecnie ponad 22 proc. inteligencji z wyższym wykształceniem wszystkich zawodów jest pochodzenia chłopskiego.

Symptomy awansu

Nie przypadkowo też w ostatnich latach 60-tych pojawiła się, jakby to powiedzieć, warstwa tzw. chłopo-robotników. Znowu obracamy się w sferze symboliki. Ale należy zważyć, że proces przechodzenia ze wsi do szeregu klasy robotniczej nie może się odbywać bez stadiów pośrednich. W gruncie rzeczy jest w tym symptom awansu społeczne-

Bronisław Gołębiowski na marginesie serii „Młode pokolenie wsi Polskiej Ludowej” w sposób następujący hierarchizuje na łamach „Miesięcznika Literackiego” dążenia młodzieży wiejskiej:

„Analiza 622 pamiętników młodzieży wiejskiej, starszych i młodszych wychodźców ze wsi do miast, wykazała, iż aspiracja badanej zbiorowości, pochodzącej z różnych rejonów kraju koncentruje się na: 1) wartościach kultury (materiałno-zawodowych, uczestnictwa w kulturze, zdobycia wiedzy i umiejętności, zapewnienia sobie warunków do rozwoju osobistego, uzyskania autorytetu i prestiżu społecznego); 2) na rolach społecznych (reformatora, działacza społecznego, pracownika — obywatela, wychowawcy, współtwórcy kultury); 3) na więzach społecznych (osobowych, międzyludzkich, formalnych, narodowych, międzypokoleniowych).” Autor stwierdza dalej, że „bogactwo tych aspiracji, wynikające z przekonania o możliwości i prawie do ich realizacji w naszym ustroju, wskazuje na kształtujący się w świadomości badanych ideał społeczeństwa bezklasowego, w którym nie może być różnic co do warunków rozwoju kulturalnego jednostki w różnych środowiskach”.

Nowy etap rozwoju

Dla polskiej wsi ostatni — 1970 rok bieżącej pięćdziesiątki otwiera nowy historyczny etap rozwoju. Jeżeli rok 1945 można z całą odpo-

Dokończenie na str. 2



Andrzej Kandziora „Cytadela” (akwinta)

to panorama nadspodziewanie korzystna dla poznańskiego środowiska plastycznego. Unaożnia nam jego niezaprzeczalne zasługi i wartości.

Wystawę otwiera mała część retrospektywna. Tutaj zebrano dzieła artystów nieżyjących lub przejściowo, tylko związanych z Poznaniem, których wpływ jednak na środowisko okazał się po latach trwały i znaczący. Ta część ekspozycji stanowi klucz do zrozumienia wielu zjawisk charakterystycznych dla całości poznańskiej plastyki. Niezmiernie ważne

PLASTYKA

z punktu widzenia późniejszego rozwoju malarstwa, rzeźby i grafiki w Poznaniu były przede wszystkim pierwsze lata powojenne. W tym okresie ton i główny kierunek sztuce w Poznaniu zaczęli nadawać artyści rzeczywiście wybitni, przeważnie związani z miejscową PWSSP: Taranczewski, Szczepański, Wasilkowski, Polański. De facto dopiero teraz zaktualizowała się i okrzepła tradycja i szkoła malarstwa kolorystycznego, stanowiąca odtąd przez wiele lat, a właściwie aż do dzisiaj, o artystycznym obliczu poznańskiej plastyki.

Ujawniły się też w tych latach pewne szczególne cechy malarstwa poznańskich kolorystów: solidność malarstwa, dbałość o formę i kolor, idąca w parze z lekceważeniem, zgodnie zresztą z za-

łożeniami tego kierunku, wszystkich pozostałych elementów obrazu: warstwy wyrażającej, treści, tzw. pogardliwe „anegdoty”. Narodziło się wreszcie w tych latach, w sensie artystycznym i liczbowym, środowisko plastyczne, składające się w r. 1945 z 40 członków (dziś 350), okrzepła artystycznie szkoła, rozwinęło się muzealnictwo. Właśnie Muzeum Wielkopolskie, co warto szczególnie podkreślić, spełniało wtedy ogromną rolę dla aktywizacji środowiska plastycznego, organizując stale wystawy środowiskowe poznańskiej plastyki. Do tych tradycji współpracy z pierwszego, powojennego okresu, nawiązuje więc także ta wystawa.

W tej części ekspozycji zwracają uwagę na zasadzie kontrastu z kolorystami przede wszystkim prace Jana Spychalskiego, wybitnego, nieżyjącego artysty, prezentującego sztukę o innym wymiarze — bardziej poetycką, surrealistyczną, skojarzeniową. Do rzędu czołowych prac całej wystawy należą znakomite w kategoriach czysto malarzkich obrazy Stanisława Szczepańskiego, Wacława Taranczewskiego i Piotra Potworowskiego (z lat 1957—1960), a z dzieł rzeźbiarskich prace Alfreda Wiśniewskiego i Bazylego Wojtowicza.

Dalszych losów artystycznych środowiska w latach pięćdziesiątych nie udało się organizatorom wystawy uchwycić.

Dokończenie na str. 2

Stulecie w ćwierćwiecze

Dokończenie ze str. 1

wiedzialnością uznać za pierwszy rok XX wieku na wsi, to lata 1970 — 1985 będą już stopniowym otwarciem następnego stulecia. „Stulecie w ćwierćwiecze” nie byłoby możliwe, gdyby wieś współczesna nie otrzymała mocnego zaplecza w Polsce przemysłowej. W tym bowiem wyodkowi chodzi już nie tylko o dalszą realizację socjalistycznej rewolucji agrarnej w połączeniu z rewolucją industrialną, ale w realne związki obu rewolucji i bardzo praktyczne korzyści dla wsi: w związku z uchwałami V Zjazdu partii „Nowe Drogi” pisać, że „realizując politykę intensywnego rozwoju przemysłu pracującego na potrzeby rolnictwa, stwarzamy równocześnie przesłanki uspołecznienia gospodarki chłopskiej” oraz „unowocześnienie tej gałęzi (produkcji rolnej — dop. aut.) wyzwala przecież poważną ilość siły roboczej, nowych rąk do pracy, bez których rozwój przemysłu byłby nie do pomyślenia”. Innymi słowy społeczno-ekonomiczne związki rolnictwa i przemysłu, proces wzajemnych oddziaływań na każdą sferę życia, zadecyduje w przyszłości o dalszych rewolucyjnych przeobrażeniach wsi. Bezspornie cały dotychczasowy poziom produkcji rolnej jest w dużym stopniu wynikiem uprzemysłowienia kraju. W rezultacie rozbudowy przemysłu maszyny nowego, chemicznego, energetycznego oraz przemysłu materiałów budowlanych nastąpił w latach 1965—67 wzrost produkcji globalnej rolnictwa o 15 proc. w porównaniu z latami 1962—64.

Polityczne skutki i tendencje

Nie wdając się w analizę szczegółowych danych należy tu wyraźnie podkreślić skutki tej polityki oraz tendencje leżące u podstaw tej polityki. Zasada generalna „przemysł dla rolnictwa” otrzymuje w planach gospodarczych znaczenie priorytetowe, a jej działanie już daje się wyraźnie odczuwać. W roku 1975 rolnictwo otrzymało ok. 4 mln. ton nawozów sztucznych (fosforowych, azotowych, potasowych) czyli ok. 200 kg na 1 ha. użyłków rolnych. Pozwoli to na przekroczenie obecnego poziomu zużycia nawozów we Francji, Włoszech, Anglii i będzie równe z obecnym poziomem w NRF. Nastąpi również wzrost produkcji środków ochrony roślin, a produkcja pasz treściwych — w 1970 roku planowana do ok. 4200 tys. ton ulegnie w 1980 roku podwojeniu. Niestety, chociaż zelektryfikowanie gospodarstw sięgało w roku 1968 u chłopów indywidualnych 83,5 proc. i w PGR-ach 99,4 proc. w dalszym ciągu wykorzystanie energii elektrycznej w samej produkcji rolnej nastrocza wiele kłopotów i trudności. Admi-

nistracja państwowa dostrzega ten problem i w jego rozwiązaniu upatruje dalszy krok naprzód wsi. Dla tego przed przemysłem postawione zostało do wykonania pilne zadanie wyprodukowania uniwersalnego silnika elektrycznego mogącego wraz z traktem zastąpić w gospodarstwie pocziwego siwka. Zanim to nastąpi w roku 1969 przemysł przewiduje uruchomienie produkcji nowego typu ciągnika o sile ucięcia 1 tony i mocy 75 Km. W porównaniu z bieżącą pięciolatką na produkcję ciągników w latach 1970—75 przeznaczony jest o 100 proc. więcej nakładów inwestycyjnych, co wyraża się w liczbach bezwzględnych ok. 300 tys. sztuk. Nadal jednak z fazy konstrukcyjnej nie wyszliśmy z całym asortymentem kombajnów, na brak których rolnictwo tak bardzo narzeka, co zresztą było przedmiotem krytyki wielu delegatów na V Zjeździe partii. Na pocieszenie pozostaje

tylko determinacja władz gospodarczych oraz prace konstruktorów. W każdym razie należy pamiętać, że uchwała V Zjazdu głosi: „Zakłady przemysłowe produkujące środki produkcji dla rolnictwa, a także transport i budownictwo powinny dołożyć starań, aby maksymalnie zaspokoić potrzeby związane z rozwojem produkcji rolnej, oraz przetwórstwa i obrotu produktami rolnymi”. Zresztą, obecnie w wyniku uchwały II Plenum, (które tak mocno akcentują konieczność opracowywania planów w ogniwach dołowych polskiej gospodarki), należy się spodziewać, że rolnictwo przedstawi bardzo konkretną wizję swych potrzeb. I ta wizja — po weryfikacji — ma szansę stać się programem dalszego socjalistycznego awansu i rozwoju wsi, nie wyłączając nawet roku 1985.

JERZY KOCHAŃSKI
JACEK KUŹMIN

MOŻLIWOŚCI ŚRODOWISKA

Dokończenie ze str. 1

Między pierwszym okresem powojennym a współczesnością powstała ogromna luka. Nie zawiązała ona jednak na całości wystawy, gdyż czołowi przedstawiciele plastyki poznańskiej pozostali wierni przez całe 25-lecie tej samej estetyce sztuki lat swej młodości. W tej niezmienności założeń artystycznych środowiska nierzadko doszukiwano się cech prowincjonalizmu.

Niewątpliwie można prowincjonalizmem nazwać utrzymywanie się przez prawie ćwierćwiecze nieco anachronicznej w relacji do sztuki światowej koncepcji malarstwa. Ta izolacja miała jednak także pozytywne skutki. Dzięki niej Poznań nie stał się poligonem doświadczalnym rozmaitych kolejnych nowinek z Zachodu, tak jak stała się nim np. Warszawa. Dzięki temu też wszystkie propozycje sztuki odchodzącej od koloryzmu były tu i są nadal tak znaczące, kontrowersyjne dla środowiska i programowo ostre: abstrakcjonistyczny konstruktoryzm Berdyszaka, realizm Skupina, obraz-reportaż Switki.

Malarstwo wywodzące się z założeń kolorystycznych dominuje jednak na wystawie. Oczywiście przybiera ono bardzo różne formy: bardziej doktrynalną, klasyczną i akademicką oraz nowocześniejszą, modyfikowaną m. in. przez abstrakcję. W tej pierwszej grupie obrazów uwagę przykuwają prace Eustachego Wasilkowskiego, w tej drugiej — płótna Andrzeja Kurzwoskiego, Józefa Fliegera i Wacława Twarowskiego oraz, dość dalekie już od koloryzmu w swej tendencji do uproszczenia płótna, Jana

Piaseckiego, Drogomira Krajewskiego i Edmunda Łubowskiego. Bardzo korzystnie wypadła na tej wystawie konfrontacja dorobku poznańskiej grafiki. Ma ona tu rzeczywiście wiele mocnych punktów. Najmocniejsze — w pracach Zygmunta Gromadzińskiego, Andrzeja Kandiory i Franciszka Burkiewicza.

Na tle dość jednorodnego mimo wszystko poglądu na istotę malarstwa, reprezentowanego przez malarzy-kolorystów, tym efektywniej i kontrowersyjniej prezentują się twórcy o odrębnym, polemicznym w stosunku do nich, programie nowej sztuki. Wśród malarzy o orientacji na sztukę wyrażającą, znaczącą, na plan pierwszy wysuwają się prace Stanisława Teisseyre'a i Jana Switki, a wśród dzieł realizujących program sztuki abstrakcyjnej — Jana Berdyszaka, Janusza Bersza i Andrzeja Matuszewskego. Poza wszystkimi głównymi nurtami formalnymi tej wystawy znalazły się na swój sposób staroświeckie i intrygujące nadrealistyczne atmosfery prace Ildefonsa Houvalta.

Wystawa w Muzeum Narodowym w powojennych dziejach plastyki poznańskiej jest więc w sumie poważnym wydarzeniem — manifestacją możliwości artystycznych środowiska. Ale właśnie dlatego, może, tym ostrzej, występuje na niej pewien problem: jest nim zbyt liberalizm jury, bardzo składowy jednak właśnie w odniesieniu do sztuki, który skłonił organizatorów wystawy do pokazania obok prac rzeczywiście wybitnych — także rzeczy słabych, deprecjonujących w oczach widza istotny i poważny dorobek artystyczny jubileuszowej ekspozycji.

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Franciszek Kirlo-Nowaczyk

Dlaczego nie otrzymali promocji?

Skończyły się zajęcia szkolne. Dla szerokiego rzeszy uciechy się działwy i młodzieży nadeszły upragnione wakacje. Rady pedagogiczne podsumowały wyniki nauczania i wyciągnęły z nich wnioski na przyszłość. Jest oczywiste, że wiele uwag i spostrzeżeń poświęcono problemowi zasadniczemu; sprawności dydaktyczno — wychowawczej szkoły. Wprawdzie szkoła nie jest zakładem produkcyjnym, ale jakoś mimo woli, każda rada pedagogiczna starała się zobrazować swoje sukcesy i niedociągnięcia w postaci liczb. Co kryło się za procentami zysków i strat? Przede wszystkim własny wkład nauczycieli w dzieło nauczania i wychowania. Z kolei wysiłki uczniów oraz opieka nad dzieckiem szkolnym domu rodzicielskiego.

W toku rozważań stało się jasne, że tam, gdzie wkład nauczyciela był duży, gdzie duże było poczucie odpowiedzialności, gdzie doświadczenie pedagogiczne towarzyszyło znajomości psychiki ucznia i jego warunków domowych — tam wyniki nie kazały na siebie czekać. Ich wzrost i jakość warunkowały także, co prawda, wrodzone czy ukształtowane zdolności samego ucznia i stosunek do szkoły jego rodziców.

Z powierzonych sobie zadań nauczyciele starali się wywiązać jak najlepiej. Pomogło im w tym dalsze samokształcenie, nowe metody pracy aktywizujące ucznia, wykorzystane do maksimum pomoce naukowe. Niemalą rolę odegrały tu także kółka zainteresowań na zajęciach pozalekcyjnych, organizacje szkolne z ZHP na czele.

Cóż, kiedy obok blasków wystąpiły i cienie. Nie wszyscy bowiem uczniowie otrzymali promocję i dla nich perspektywa zasłużonego wypoczynku wakacyjnego nie przedstawia się różowo. Część z nich musi się przygotować do egzaminów poprawkowych, część musiała się pożegnać z promocją.

„Najczęściej nie jest to przyczyna lenistwa — stwierdza Z. D. w artykule „Potrzebne klasy specjalne” zamieszczonym w „Głosie Wielkopolskim” z 21 czerwca br. — czy lekceważenia obowiązków szkolnych, ale wynikiem opóźnienia w rozwoju psychicznym”. Na dalszym miejscu autor słusznie dowodzi wzrostu liczby szkół lub chociażby klas specjalnych dla tej młodzieży.

Ale problem uczniów nie nadążających jest szerszy, ściślej, uczniowie niepromowani. Na powodzeniu szkolnym dziecka mogą ważyć liczne inne jeszcze czynniki. A więc lenistwo, brak poczucia odpowiedzialności za swój własny przyszły los, lekceważenie obowiązków, uleganie destruktynym wpływom środowiska itp.

Decydującą rolę odgrywa dom rodzinny, głównie zaś jego poziom intelektualny, formy współżycia, domowe środki wychowawcze. I dziwna zaiste rzecz! Mało mamy obecnie takich domów, w których nie docenia się znaczenia nauki. Zło leży gdzie indziej. Przede wszystkim w niewłaściwie pojętej odpowiedzialności rodzicielskiej za dziecko, w słabym zainteresowaniu jego postępkami, w traktowaniu nauki jako zajęcia nie wymagającego wysiłku i czasu. Na wsi zaś nadmiernym angażowaniem dzieci do pracy w polu i obejściu gospodarczym. Dalej, w sporadycznym tylko kontakcie ze szkołą, od wywiadówki do wywiadówki, zwykle przy końcu roku szkolnego, gdy dziecku grozi pozostanie w tej samej klasie.

Mimo dość dużego odsetka dzieci opóźnionych w rozwoju psychicznym — jak to stwierdza Z. D. w przytoczonym wyżej artykule — większość repetentów wywodzi się z dzieci zaniedbanych przez dom. Tłumaczenie się, że nie ma czasu, bo robotą popędza, że brakuje odpowiednich kwalifikacji, że są trudności z wychowaniem — to wszystko jest czystym wymysłem, którym najłatwiej zwalać cały ciężar nauczania i wychowania na szkołę. A przecież o współodpowiedzialności za wyniki w nauce i w wychowaniu szkoły i domu wyraźnie mówią także materiały V Zjazdu partii!

Twierdzą doświadczeni nauczyciele, że często źródła lenistwa ucznia tkwią w samym domu, podobnie ma się rzecz z karnością, z higieną itd. Niedbałość w pracy, nie przestrzeganie kardynalnych zasad higieny, sąsiedzkie spory i kłótnie — nie oddziałują dodatnio na dziecko. I w tym należy także szukać przyczyn jego niepowodzeń w szkole. Krótko mówiąc, w niezdrowej atmosferze, w jakiej rośnie i dorasta.

Osobny problem, to częściowy brak uzdolnień u dzieci. Np. trudności w matematyce, czy w ogóle w przedmiotach ścisłych. Sprawa ta zasługuje chyba na to, aby stała się przedmiotem szerszej dyskusji. I nie tylko nauczycieli.

Z kolei garść uwag na temat stosunku szkoły do uczniów „trudnych”, jak się ich pospolicie nazywa. Czy wystarczy tu samo „indywidualne” podejście, czy w wielu wypadkach szkoła nie powinna zastąpić takiego dziecku domu? W żadnym jednak wypadku nie wolno szkole dyskryminować uczniów „trudnych”, skazywać ich na niewiarę w możliwości pokonania przeszkód. Oczywiście, nieodzowna jest tu współpraca z rodzicami.

Z którejkolwiek strony spojrzeć by na problem skazujący ucznia na pozostanie w tej samej klasie, nie jest on łatwy ani tym bardziej wyłączną sprawą szkoły i nauczyciela. Może go w dużym stopniu rozwiązać szkoła lub klasy specjalne, a liczba ich jest dotychczas niewystarczająca.

„Rzeczy sceniczne” K. Młakowiczówny

Interesującym dopełnieniem twórczości wybitnej poetki Kazimierzy Młakowiczówny są „Rzeczy sceniczne” opublikowane ostatnio przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

Na tom składają się utwory o różnorodnej tematyce, ale łączy je wspólna idea, którą jest „odkrywanie w człowieku, uwikłanym w historię, w realia życia — mechanizm dobroci, dążenie ku dobru”. Myśl ta przewija się zarówno przez burleskę „Banialuka o chuliganie”, jak i przez farsę „Kto wie, czyje będzie na wierzchu” — o przemianach obyczajowych w Polsce Ludowej, czy przez dramat historyczny „Ziemia rozdarta” — traktujący o sprawach Śląska na przełomie XIII i XIV wieku lub przez miniaturkę dramatyczną „W wigilię cudu” — o królewiczu Kazimierzu”. (PAP)

LEKTOR

Przeglądamy Prasę

PIERWSZY ROK — EKSTERNISTYCZNIE?

Jest już regułą, że na pierwszy rok studiów przyjmuje się odpowiednio większą liczbę kandydatów licząc, iż już w następnym roku zmniejszy się ona w sposób znaczny. Egzamin wstępny na wyższe uczelnie nie jest bowiem doskonałą formą sprawdzania wiadomości kandydatów, a ponadto wielu z nich dopiero na pierwszym roku studiów przekonuje się, że np. minęło się z zainteresowaniami. W rezultacie zdarza się i tak, że na drugim roku studiów jest mniej studiujących niż mogłoby ich być.

Nad tym, czy można by znaleźć lepsze rozwiązanie zastanawia się Stanisław Otto w publikacji zamieszczonej w „Tygodniku Kulturalnym”. Autor proponuje w swoim artykule dyskusyjnym wprowadzenie systemu studiów eksternistycznych na pierwszym roku.

„Prowadzony obecnie system studiów zaocznych — przypomina — polega na samodzielnej nauce studenta. Uczestniczy on jedynie kilka razy w roku w zjazdach i składa egzaminy. W studiach tech-

nicznych zaś wprowadzono system eksternistyczny na I roku. Pomocą służy tu słuchaczom telewizja prowadząca wykłady z obowiązkowych przedmiotów I roku (...) Doświadczania studiów zaocznych wykorzystane by można również w systemie stacjonarnym. (...) słuchacz uczyłby się wyłącznie sam ze wskazanych mu tylko podręczników i skryptów, a w uczelni złożyłby tylko egzaminy. Byłby to „czysty” eksternat I roku bez wymagań jednoczesnej pracy zawodowej”.

Propozycje te zmierzają do wprowadzenia możliwości zaliczania I roku studiów przez naukę poza szkołą wyższą, a więc bez jej obciążenia dodatkowymi zadaniami. Selekcję takich kandydatów na studia ułatwiałby fakt, że zdawaliby oni egzaminy z już wybranego kierunku studiów, co dawałoby pojęcie o ich przydatności do tego właśnie kierunku. Zdaniem autora, pewien eksperyment w tym zakresie można by podjąć już teraz, umożliwiając w przyszłym roku staranie się o przyjęcie na II rok studiów tym tegorocznym kandydatom, którzy złożyli pomyślnie egzamin wstępny, a z braku miejsc nie będą przyjęci.

SPRAWDZIAN

Istotny problem społeczny porusza na łamach „Argumentów” w swoim cotygodniowym felietonie „Gielda wartości” — Henryk Jankowski.

Podobno przy organizowaniu programów telewizyjnych „Zawsze w niedzielę” największym kłopotem jest z namówieniem miejscowych działaczy do wystąpienia w jakiejś konkurencji, której wyniki oblicza się wedle zupełnie odmiennych kryteriów niż te, które przyklada się do ich codziennej pracy. Np. prze-

wodniczący prezydium powiatowej rady narodowej myśli, że się skompromituje jeśli uczestniczyć będzie w zespole siłaczy, który może przegrać z sąsiadami, na których czele stoi tylko sekretarz prezydium.

Jankowski wypowiada się przeciwko takiemu stereotypowi myślenia.

Podaje także przykład, że w jednym z techników do tradycji już należy dorocznym mecz siatkówki między uczniami a gronem pedagogicznym.

„Jest to — pisze — nie tylko wyborna zabawa dla wszystkich, lecz również poważny czynnik wychowawczy. Mecz taki bowiem wykazuje, iż nie ma totalnej wyższości lub niższości między ludźmi, utrwalonej w dodatku instytucjonalnie, lecz istniejącej dziedziny, w których nauczyciel góruje nad wychowankiem, istnieją również sytuacje, w których wychowanek może mieć satysfakcję, iż jest w jakimś aspekcie „lepszy” od swego wychowawcy”.

Ludzie nie poddają się jednak chętnie takim sprawdzianom.

„A przecież warto jest — pisze Jankowski — od czasu do czasu sprawdzić samego siebie. Warto więc zobaczyć, co się sobą reprezentuje od strony samego siebie, niezależnie od nawet najzupełniej słusznie zajmowanego stanowiska i pełnionej funkcji.

Istnieje pewna tendencja do zatrzymywania się w rozwoju, tendencja do traktowania siebie jako osoby, która coś znaczy i która zawsze będzie coś znaczyła. Przy takiej zaś tendencji ludzi wybijających się i zdolnych, ludzi, którzy zamierzają udowodnić swe możliwości, traktuje się nie jako współpracowników wspólnie wykonujących określone zadania, lecz jako niebezpiecznych konkurentów”.